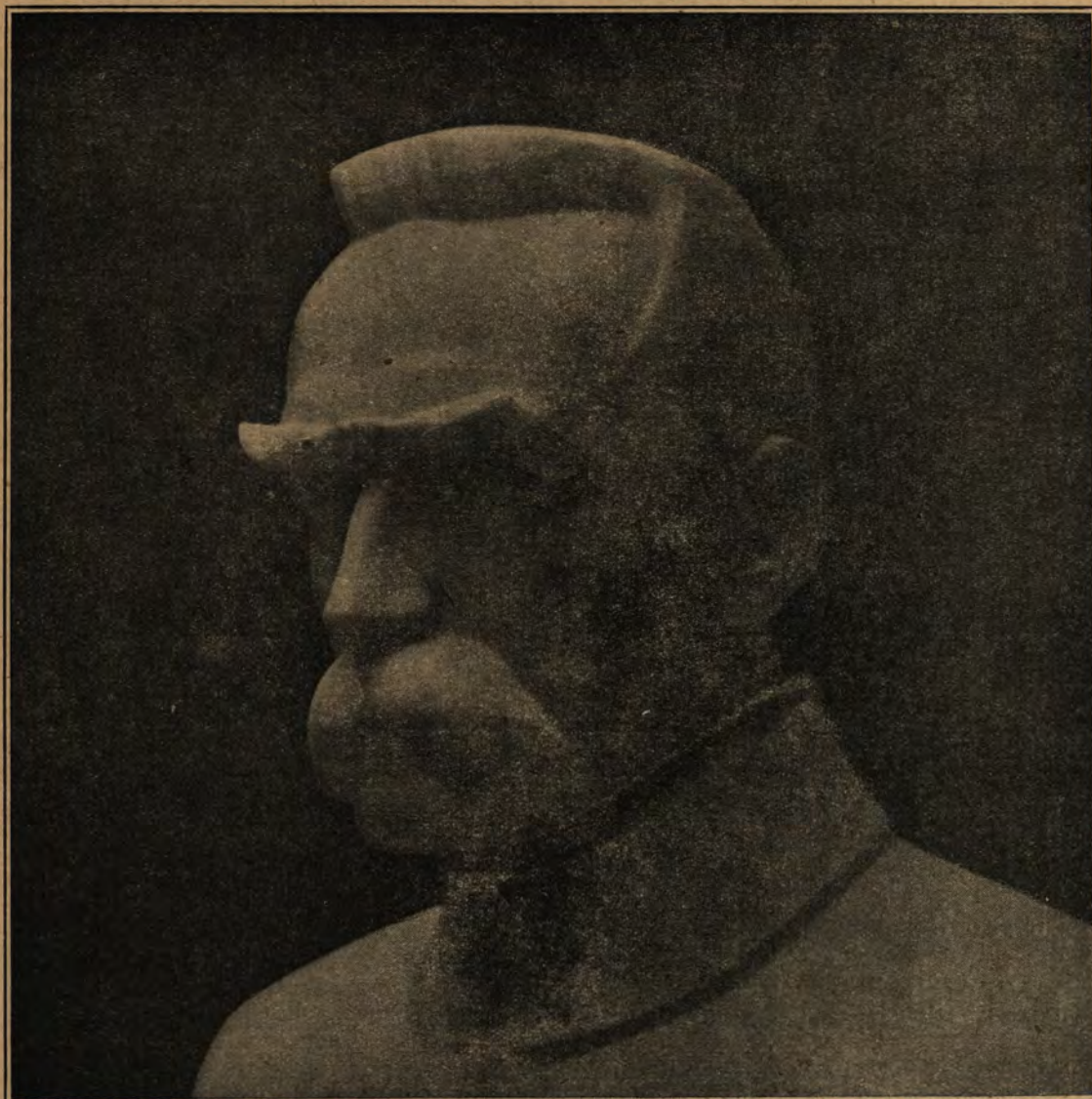


ZESZYT 2.  
22 Luty.

# ŚWIATŁO

---

ROK I.  
1920.



EDWARD WITTIG.

<http://rcin.org.pl>

JÓZEF PIŁSUDSKI.

# KULTURA I LUD.

(KU ROZWADZE INTELIGENCJI).



skarby piękna istotnej kultury były i jeszcze są wyłączną własnością wybrańców losu, tych „nadziemski.h” arystokratów ducha, którzy z pogardą wielkopańskiej wyższości spozierają na miliony ludu, któremu stale odmawiano przystępu do wszystkiego, co wzniosłe, szlachetne i piękne, żądając natomiast, by kornie bił pokłony i z cziłą ciemnych bałwochwalców szanował nieprzebrane skarby nie jego kultury, której onemu ludowi odmawiano jako „niższemu gatunkowi ludzi”.

Bano się, by czasem nie zabłocono świątynnych progów sztuki, by oko plebsu nie zasmakowało w pięknie istotnej cywilizacji i nie poczuło miłości do wszechludzkiego aryzmu: w muzyce, poezji, śpiewie, malarstwie; by nie poznało genjuszów ducha człowieczego, którzy właściwie „cierpiąc za miliony”, tworzyli dla owych milionów.

Powstała więc pewnego rodzaju kastowość wśród inteligencji, która, wzorując się na formach dawnej stanowości, poszła w swej większości na służbę tryumfującego materializmu, a mianowicie do tych, co posiadali puste dusze, a pełne kieszenie i płacili sownie za przygotowywanie im przyjemności intelektualnych. To też piękno kultury nie mogło być dobrem powszechności i z tej racji nie posiadało w sobie *mocy życia*, szczerzej a bezinteresownej otwartości, a zasadzało się głównie na kompromisie i tem samem chowało na brak płomiennego entuzjazmu do życia, które teoretycznie choć dawało równe prawa do kultury, lecz w rzeczywistości jednych krzywdziło, a innym przypinało pióropusze przywilejów.

Nic więc dziwnego, iż przy takim stanie rzeczy siła kultur narodowych nie mogła rozgorzeć w swej całkowitej potędze piękna, aby rozwiać mroki zchamienia duchowego i popolitości, co skrzeczy i wyje.

Dlatego też narody cywilizacji europejskiej przeżywają obecnie olbrzymi kryzys nie tylko społeczny, lecz i ściśle duchowy, kryzys, będący zapowiedzią nowych przekształceń życia ludzkiego, szukającego nowych ideałów, nowych haseł i nowej wiary... Z tej więc racji i dotychczasowa rola inteligencji w życiu naszego narodu wymaga gruntownej rewizji, określenia swych zadań i dążeń, albowiem inaczej życie może ją zepchnąć swą huraganową siłą z dotychczasowego piedestału „wyższości”, biernie następującej niewiadomej jej pieśni wyzwolenia się spletanego Prometeusza pracy.

Rozpędowa siła ciągłych zmian wskazuje coraz to na nowe zagadnienia i zadania, wylaniając zarysy nowych, a dotychczas nieznanych form życia, wobec których inteligencja w swej większości staje bezradna, bezsilna, biadająca i wprost, jak dziecko słabiutkie, oniemiała. Inteligencja nie zna z doświadczenia istoty życia konkretnego, jego sił drzemających w przemocnych korzeniach ludu. Inteli-

gencja, kultywująca arystokrację intelektualną, nie umie dziś określić jasno i dobitnie swego stanowiska choćby do problemu pracy, lęka się wstąpić otwarcie w bój o *realizację praw człowieka*. Acz wyśpiewała hymn o wolności, obudziła drzemające siły w fundamentach narodu, lecz skoro owe siły rwą się do niezależnego, samorodnego czynu, wówczas staje bezradna, obawiająca się *istotnego zrównania z ludem*, by nie utracić czasami palmy przodownictwa duchowego i nie narazić na szwank swego arystokratyzmu intelektualnego. Stąd więc płynie niezrozumienie chwili odrodzenia i lęk przed zdrową, młodzieńczą siłą milionowych mas ludu pracującego, które nie chcą, by *dla nich* tworzono, albowiem czują w sobie moc do samoistnego twórczości i władztwa kultury. Dawano im okrucy—a oni pragną całości, dawano jałmużnę oświatową, a oni chcą sprawiedliwego podziału.

To też dziś zarówno lud wsi jak i miast o własnych siłach poczyną zdobywać ów zamknięty świat kultury. W tym celu samokształci się, tworzy własne ośrodki życia kulturalno-oświatowego, wyrzysuje ze swej piersi ognie talentów i dąży do tego, aby piękno sztuki stało się wyrazem uczuć całej gromady społecznej, a nie przywilejem niezyciowych wybrańców losu. I nic nie pomogą karle wysiłki demoralizatorów społecznych, pragnących ów rozpęd sparaliżować i skierować na tory „popularności”; nadejdzie bowiem chwila, kiedy lud zażąda „porachunku z miliona” i stworzy nowy ład, będący podścieliskiem dla pełnego rozkwitu kultury zarówno narodowej jak i ogólnoludzkiej.

To też inteligencja nasza w swej większości, tak lękliwa i cieplarniana, winna bacznie się wsłuchać w poszumy niepojętego przypływu nowych sił, nowych twórców potęg i brać w owym pochodzie udział czynny, szczerzy, bezinteresowny, a wówczas i jej siły stokrotnie wzrosną przy wyzwaniu kultury z pęt przywileju, bo jak powiada poeta ludu wiejskiego Sawczuk:

„Kto tu na ziemi nowe życie tworzy,  
Ten w sercach braci na wieki żyć będzie,  
I skrzydeł jego nie sięgnie gniew Boży,  
bo bożym jest ów czyn.

W przeciwnym zaś razie lud, pozostawiony własnym siłom, sam dotrze do owych źródeł i odrzuci z pogardą kapłanów wybrańczości, którzy mogą zejść do rzędu ludzi wybrakowanych, bezpożytecznych.

Tworzenie nap. sztuki i kultury specjalnie dla ludu, a specjalnie dla siebie jest zmurszałym przeżytkiem niewolnictwa psychicznego. Chodzi wszak o stworzenie jednej sztuki, o nieodgradzanie się barierkami fałszywego arystokratyzmu od mas, którym stróż „bezpieczeństwa” często zagrażają drogę do źródeł piękna, jak to miało miejsce niedawno u nas w Warszawie, gdzie pod płaszczykiem ścigania komunizmu i wicherzycielstwa zamykano robotnicze placówki kulturalno-oświatowe i robiono utrudnienia przy wydawaniu pozwoleń na organizowanie przedstawień teatral-

nych. Nap.: trupie robotniczej: „Scena i Lutnia” odmawiano pozwolenia na wystawienie „Tka-czów” Hauptmana, a dopiero po długich do-maganiach z trudem uzyskano prawo do wystąpie-nia na zewnątrz. Również utrudnia się wynajmo-wanie sal przyzwoitych na koncerty i przedsta-wienia artystyczne, organizowane przez sam lud.

Takie nieogłędne postępowanie wzbudza jeno nienawiść, sieje burzę buntu i skazuje pionierów sztuki ludowej na poniewierkę po zakamarach izb niechlujnych, gdzie lud pracujący urządza sobie przedstawienia i koncerty, stojące o całe niebo wy-żej od łajdacko-paskarskich kabaretów.

A inteligencja w swej większości spoziera na to z tępą obojętnością, bojąc się współpracować szcze-rze, otwarcie z ludem na polu światła i kultury.

A co ma rzec lud wsi, walący w przeszkody, jakie mu stawia egoizm kapłanów uprzywilejowy-wania kultury, którzy jeno okruchy rzucają w du-sze narodu, by w ten sposób ogłupiać je i rozwijać instynkt tendencji i przeciętności.

Nie należy *à priori* odsądzać ludu od zdolno-ści rozumienia i wyczuwania arcydzieł sztuki, skoro się w kierunku ich uprzystępnienia nic nie robi,

a jeno podsuwa z kłamliwą tkliwością dobroczynne surrogaty popularnej „sztuki”.

Inteligencja w swej większości byłaby niepo-miernie zgorzonna no i ...przerażona, gdyby miała nap. zasiąść w teatrach i salach koncertowych po-spełu, na równi z szarym tłumem ludu. Wówczas miast się cieszyć, krzyknęłaby, że to jakieś samo-wolne, bezceremonjalne najsie barbarzyńców, nie-godnych patrzeć na piękno wielkiej sztuki, bo nie posiadają ku temu manier wytwornych leniwców. Wrażliwość i wewnętrzne pragnienie, to jeszcze nic, trzeba mieć do tego koniecznie ręce wypieszczone, bo „jak cię widzą, tak cię piszą”, i tak cię osądzają.

Otóż dopóki inteligencja nie przekształci sa-ma siebie wewnętrznie, dopóty będzie się czuła słabą i niewolną wobec panującej zmory własnych przesądów, dopóty będzie czuła się wyosobnioną i stojącą poza ramami wartkiego strumienia życia. Skoro pragniemy, aby Naród nasz stał się zbioro-wiskiem wolnych, równych obywateli, musi zani-knąć pojęcie ludu, jako niższej, pokrzywdzonej war-stwy społecznej, a wypłynąć Człowiek, najpiękniej-szy twór życia.

Antoni Langer.

## Dzieje anielskiego posążku. (Dokończenie).



żalem rozstawałem się z dłońmi mego biednego twórcy. Choć nie miał on tyle sił duchowych tragicznie spętanych i szamo-cących się, co jego poprzednik, widziałem w nim jednak wiele czystych, tylko zatartych pyłem życia szarego, pereł.

Teraz znalazłem się w giserni. Rozumne i ostrożne dłonie robotnika kształtowały w odpo-wiednio przyrządzonej ziemi cząstki negatywów mej postaci. Gdy ta misterna i podziwu godna praca już była dokonana, gdy w żelaznych kastlach leża-ły już dwie połowy moich negatywów, które, gdy kastle składano najściślej brzegami miały do siebie przylegać, wzięli się robotnicy do przyrządzenia me-talu, z którego miano mnie odlać. Miedź i cynk w piecu gorejącym zmieniły się w płynny, srebrzy-sty brąz, którym wypełniono tygle i lano w formy mojego ciała. Wspaniale wyglądała ta czynność. Z tygli biła łuna ognista na skupione twarze robot-ników, wyglądających na tle ciemnego wnętrza gi-serni w purpurowych odblaskach rozżalonego me-talowego wnętrza na zjawy malownicze i groźne.

Gdy już odlewy moje ostygły, wyjęto mię z kastli, poułamywano sterczące mi u głowy i nóg leje, poobtłukiwano resztki ziemi z form, poczem pęk moich posążków związano drutem i odesłano

kilkoma partjami do warsztatu cyzelańskiego dla obróbki ostatecznej, polegającej na zładowaniu róż-nych szorstkości odlewu, zaciągnięcia dziurek roz-sianych po mojem ciele i zniszczeniu tak zwanych szwów, które się tworzą w tych miejscach gdzie części negatywu stykały się z sobą.

Wzór mój woskowy poszedł do szafy z mo-delami, gdzie wraz z barokowymi amatorami, Kmi-cicem i Oleńką, zabawnie uśmiechniętym posażkiem Zagłoby, ukrzyżowanym Chrystusem, kilkoma na-giemmi kobietami, oraz lwem, wilczycą i panterą, do-tąd przebywa, zasnuwany pyłem i pajęczyną, czeka-jąc aż go znów wydobędą do formowania.

Zaniesiono mnie więc do cyzlerni, i tam maj-ster oddał mnie młodemu chłopcu z poleceniem, ażeby posażki moje oczyścił w kwasie. Chłopiec ten, mający Kazik na imię, z dziwnym wzruszeniem wziął w rękę wiązanek mych posażków. Nie byłem jeszcze wówczas przedmiotem kultu religijnego: stałem się przedmiotem czci religijnej dopiero po poświęceniu mnie i odmówieniu pewnych modlitw, nie mniej, ów Kazik pierwszy, najniestuszniej, o ile idzie o moje piękno artystyczne, lub o moją ów-czesną świętość kanoniczną, oddał mi cześć — szep-nawszy: „to święty Michał” i ucałował mi nogi. Mały Kazik nie wiedział wówczas, że skłonił głowę dziecinną przed zaklętą we mnie ciężką i umęczo-ną pracą ludzką, że cześć oddał długiemu szeregowi

robotników, którzy do powstania tego posążku się przyczynili. Po oczyszczeniu mnie w kwasach, którego dokonał Kazik, wróciliśmy do cyzlerni. W dużym tym warsztacie, dygocącym od ruchu kilkudziesięciu, tokarń umieszczonych na dole, których transmisje przytwierdzone były pod podłogą cyzlerni przebyłem czas dłuższy. Dano mi do obróbienia cyzelerowi, który założył na stalowe imadło ołowiane boki, ażeby mię uścisk stali nie pokaleczył i przytwierdziwszy mię za pomocą skrętu za nogi lub głowę, oskrobywał mię ostremi skrobaczkami, tak zwanymi z niemiecka „szabrami“ i pilniczkami, z nierówności pozostałych na brązie po odlewie, poczem wygladzał jeszcze papierem piaskowym tak zwanym „szmerglem“.

Posążek za posążkiem ulegał ciężkiej obróbce. Współczulem pracownikowi, który musiał spełniać tę monotonną pracę przez jedenaście długich godzin na dobę. Noce spędzałem spokojnie; rankiem, było to zimą jeszcze o zupełnym zmroku, schodzili się robotnicy — zaraz też na dole ze stękiem i zgrzytem ruszały się maszyny tokarń — „Suplierni“, na których z blach wytłaczano różne przedmioty. Cyzlerzy zapalali swe lampy i brali się do pracy. Po paru godzinach „orki“ nadchodził dzień, i gaszono lampy, lecz praca szła dalej.

Dopiero, gdy sześć godzin upłynęło, i zmęczeni a głodni robotnicy z utęsknieniem coraz częściej spoglądali na zegarki, rozległ się głos syreny fabrycznej, zwiastującej obiad. Przez godzinę zgiełkiwy warsztat zaległa ogłuszająca cisza. Po tym krótkim spoczynku, który zaledwie starczył na przejście do domu i pospieszne spożycie obiadu, wracała wiara, by znów stanąć do niekończącej się nieprzepracowanej orki.

Robotnik, obrabiający moje posążki, z melancholijnym smutkiem zwykł był mawiać do towarzyszy pracy:

— „No, panowie, co było, to się nie liczy — spracowane, zjedzone, strawione — to za nic! — teraz zaczynamy od nowa. Czasem ktoś rzekł coś dowcipnego, częściej jednak odpowiadano z goryczą usprawiedliwioną: „Ot, katorga — psiakrew — nie życie“.

Rychło zapadał wczesny zimowy wieczór, i znów na długo zapalały się lampy; w ich czerwono-żółtem świetle nachylały się nad kawałkami obrabianych metali poważne, pełne inteligencji twarze robotnicze. Wiedziałem że Kazik niedawno ze wsi przybyły, ze szczególnym uciskiem duszy znosi te dni w hałasie ciągłym, w złym powietrzu, w braku przestrzeni i przyrody żywej, przy pracy zajmującej wraz z odpoczynkiem obiadowym całe pół doby. Nieraz jeszcze chłopczyna chodził ze świeżemi wiązkami mych posążków, by je ukapać w kadzi z kwa-

sami — a gdy mię wysuszał, ocierając w trocinach często brał do ręki i długo mi się przyglądał. Przypominałem mu różne przydrożne figurki wiejskie. Przychodziły mu na myśl dalekie wolne przestrzenie pól, z pośród których wyrwany został i krzaki kwitnących głogów u podnóży świątków.

Wówczas, gdy wspominał pęd wolnych, gnanych wiatrem po niebie obłoków i pokryte rosą o poranku krzewy i pola, kołyszące się zbożem, mieniącym się i połyskującym w słońcu, gdy wspominał dalekie granatowe smugi lasów, widniejące na horyzoncie i dreszcze, przebiegające wraz z wicherem po jeziorze i czajki unoszące się nad wodą, wydające swój żaloszny okrzyk, gdy szły mu na duszę i opanowywały ją te wszystkie obrazy pełne czaru, wolnego spędzonego na wsi dzieciństwa, które tak szybko zmieniło się w twarde robotniczy żywot, czuł wzbierający w sercu bunt przeciwko więzom, w które wraz z całą rzeszą ludzi skuty został — widziałem kształtujące się w umyśle i sercu młodzieńczego postanowienia, żeby na zmianę ulepszenia i upiększenia tego życia robotniczego wpłynąć i przyczynić się do roztworzenia przed nim dalekich, nieznanych, cudnych światów piękna i względnej swobody.

Przyszedł czas, że musiałem się pożegnać z Kazikiem i innymi robotnikami, którzy mnie wykańczali w cyzlerni. Dostałem się do szlifierni, gdzie robotnicy pracujący w niedającym się opisać brudzie, powstającym z łoju, rozpryskującego się z pod wirujących w szalonym pędzie szczotek szlifierskich, które umocowane na osiach żelaznych, obracane są przez transmisje parowej maszyny, nadawali figurce gładkość atlasową. Widziałem t.m robotnika, o którym mówiono, że pochodzi z możnego niegdyś arystokratycznego rodu — o twarzy dumnej i pięknej, unurzanego w lepkiem brudzie od stóp do głów i dzień cały nachylonego nad rozwirowaną, miotającą mu w twarz, tłusty brud, szczotką.

Potomek ten magnacki, gdy wyrzucony został przez biedę z szeregow ludzi grających dzielnie w tenisa i dziarsko jeżdżących konno, oraz dobrze grających w karty, a wszedł w twarde szranki robotnicze, poznał podobno całą czczość i pustkę życia większości swych przodków i stał się jednym z najdzielniejszych robociarzy i najteższych bojowników o wyzwolenie. Ten ci posążki moje szlifował.

Odetchnąłem, gdy z obrzydliwie brudnego tego kąta przeniesiono mię do galwanizmu, gdzie za pomocą elektrycznego prądu zakryto moje brązowe ciało, połączając mnie warstwą rodzimego złota. Potem raz jeszcze wróciłem do warsztatów, gdzie mi młodzianka słodka robotnica wypole-rowała smoczy łeb i miecz, i byłem gotów do na-

bycia. Zapakowano więc nas starannie w paki i roz-  
zesłano po różny h m astach. Mnie, stojącego na  
wystawie sklepowej, upodobał sobie twój proboszcz.  
Rzekł sobie w duchu, że dość duży jestem, ładny i nie  
drogi, więc wytargowawszy się porządnie o cenę —  
nabył mię.

Niestety nic on nie wie jaka treść we mnie  
spoczywa. Nic nie wie i nie myśli o tych zakłę-  
tych we mnie trudach górników i hutników, nie  
wie o gorzkich łzach rzeźbiącego artysty, któ-  
remi opłakał on moją słodyczkowatość i pospoli-  
tość mych form i o dumnych buntowniczych my-  
ślach czyszczącego mię chłopca i o pełnych bezna-  
dziejnej rezygnacji i zmęczenia słowach tego, co mnie  
skrobał. Nic nie wie o tym całym długim splocie  
wysiłeków ludzkich i ludzkiej niedoli i krzywdy,  
z którymi związane jest moje powstanie. Świętością  
stałem się dla niego, gdy przepisane słowa nade-  
mną wyrzekł i wodą święconą pokropił. Od tej  
dla księdza chwili uroczystej wiodę żywot niezmier-  
nie nudny i czczy. Tydzień cały w szafie zakrystji  
schowany jestem, jak wiesz, bo ty wszystko wiesz  
z mego życia obecnego, wynosisz mię tylko na  
niedziele i święta. Powoli zasnuwam się kurzem  
i brudem. Po wyjściu mym z mroków ziemi prze-  
szedłem przez świat cierpień, niedoskonałości i krzyw-  
dy, w których jednak były:— siła—twórczość pracy,

szkolwiek spętanej i gnębionej jak naród, walka  
i dążenie do rozwoju.

Z chwilą poświęcenia wstąpiłem w świat po-  
sędny i zamarły, w którym szczytne ideje miłości  
i braterstwa zduszone są formalistyką czczych obrzę-  
dów, stłumione chytremi zabiegami o władzę poli-  
tyczną i zasnute, spętane płatanią intryg i podstęp-  
pów. Ty tu, mój staruszk, jeden jesteś, coś żył na-  
prawdę i pracował i który należysz do tych co ży-  
cie przyszłe zbudują. Gdy jutro nieś mnie bę-  
dziesz, ukłoń się, starcze, przedemną, wnieś mnie  
wysoko i zawołaj zgromadzonemu ludowi: „Patrz-  
cie—uto tryumfująca nad złem krzywdy, umęczona  
i znieważona *praca i twórczość!*”

Obudził się stary, podniósł głowę zwiśniętą  
i spojrzął na posąg, zamachującego się mieczem na  
smoka złocistego archanioła.

Świerszczyki śpiewały swą pieśń tajemniczą,  
wrosła, jakby z odwiecznie pochodzącej w tym cza-  
sie dojrzałości zbóż, traw i ziół. Pachniały kwitną-  
ce lipy. Stały się po błękitnym cieniu ziemi różo-  
we smugi nachylającego się już ku zachodowi słoń-  
ca. Z plebanji dolatywał gwar przygotowań przed-  
odpustowych. Starcowi cicho na leżącego mu na  
kolanach archanioła spływały jedna po drugiej go-  
rące gorzkie łzy.

Jan Rembowski

## N A R K O T Y K.

HUMORESKA.

(Przek. z ros.).

I.



ie mamy ani grosza, nie mamy  
co jeść i za mieszkanie nie płaci-  
liśmy dwa miesiące”.

2 Odpowiedziałem: „Tak”.

3 „Wczoraj nie jedliśmy kola-  
cji, dzisiaj nie piliśmy zrana her-  
baty i przyszłość nie zapowiada  
się lepiej”.

4 Potwierdziłem i to. Anders  
pogłaskał się po niegolonym po-  
liczku i powiedział:

5 „Jest jednak sposób na to, aby żyć, przyspie-  
wując. Tylko obrzydliwy”.

6 „Zabójstwo?”

7 „Nie”.

8 „Praca?”

9 „Nie zupełnie. Zresztą to obrzydliwe, jako za-  
jęcie codzienne... Ale jeden dzień dla fantazji—spró-  
bujmy Co?...”

10 „Spróbujmy. Cóż mam robić?”

11 „Głupstwo: to samo, co i ja. Ubieraj się, wyj-  
dziemy na powietrze”.

12 „Gospodarz nas zatrzyma”.

13 „Niech tam!...”

Gdyśmy wyszli z pokoju i zaczęli stąpać po  
korytarzu, ja starałem się przemknąć niezauważenie,  
a Anders przeciwnie: stukał nieustannie nogami,  
jak koń. W końcu długiego korytarza dopędziła nas  
żwawa pokojówka.

„Panie Andersie, pan gospodarz prosi bardzo  
na chwilę”.

„Stało się”—szepnąłem, opierając się o ścianę.

„A-a... Z przyjemnością. Chodźmy, chłopie”.

Wstrętny staruszek, właściciel pokojów ume-  
blowanych, zwarjowany na punkcie czystości i spo-  
koju, spotkał nas chłodno.

„Przepraszam panów. Mam interes. Zapewne  
myślicie w duchu—”pocośmy potrzebni temu sta-  
remu bydłciu”.

Anders potrząsnął głową z wyrzutem i powie-  
dział obojętnie:

„I tak mieliśmy zamiar wstąpić dziś do pana”.

W oczach starego błysnęła radość.

„No? Czyżby? Doprawdy?”

„Tak... chcieliśmy szczerze i serdecznie podzię-  
kować. Wie pan, mieszkałem w wielu pokojach

umebłowanych, nieraz bardzo drogich i wykwiutnych, ale takiej ciszy, takiej czystości i porządku, szczerze mówię, nigdzie nie widziałem! Pytam co dzień jego (Anders wskazał na mnie), skąd pan gospodarz bierze czas na prowadzenie tak wielkiego, złożonego przedsiębiorstwa?"

„Rzeczywiście, rzytał mię — potwierdziłem.

O ile pamiętam, odpowiedziałem mu: „Nie usiłuję nawet pojąć! To jakies czary!”

„Tak — potwierdził stary z uśmiechem zadowolenia. — Trudno jest zachowywać czystość, ciszę i porządek”.

„Ale pan je zachowuje idealnie!! — gorąco wykrzyknął Anders. — Skąd taki takt, taka domyślność!... Pamiętam, w zeszłym roku mieszkał u pana jeden pijak i jeden samobójca. Czyż oni — pytam — odważyli się zakłócić ciszę, zachwiać porządek? Nie. Pijak, gdy go przyjaciele odwozili, nie wydawał ani jednego dźwięku, dlatego, że był śmiertelnie pijany i rzucony na łożko, momentalnie zasypiał... A samobójca — pamięta pan? — cichutko się powiesił i wisiał cierpliwie, bez krzyku, jęków, aż przypomniano go sobie na drugi dzień”.

„A zazdrośni małżonkowie! — podchwyciłem. Pamiętasz ich, Andersie? Gdy żona zobaczyła męża z pokrówką — to co było? Gdzie krzyki? gdzie kłótnie i skandale? Ani dźwięku! Wzięła wprost pokojówkę i z łagodnym uśmiechem wyrzuciła ją przez otwarte okno. Wprawdzie ta złamała nogę, ale...”

„...Ale przecież to było na ulicy — zazdrośnie przerwał starszek. — To, co się dzieje na ulicy — nie ma nic wspólnego z memi pokojami”.

„Naturalnie!! Co ma jedno do drugiego? Gdy kto będzie miał chęć złamać sobie nogę na ulicy — ma to dotyczyć pana?! Nie!”

„Tak... Wiele trzeba silnej woli i niezachwianej linii postępowania, aby tak prowadzić interes. Ta zmarszczka między brwiami pana znamionuje niezachwianą wolę i...”

„Pan, zapewne, w młodości był bardzo przy stojnym?”

„Ależ i teraz jeszcze — przerwał Anders. Ojej. Gdybym był żonaty, chowałbym jaknajdalej od pana żo... Ależ, zagadaliśmy się z panem. Przepraszam, że zająłem czas. Chodźmy, kolego. Jeszcze raz, drogi panie, załączamy w imieniu wszystkich lokatorów najserdeczniejsze, najgorętsze... hm. Chodźmy...”

Rozweselony stary odprowadził nas życzliwie, poruszając wyschlęmi rękoma.

Na korytarzu znowu spotkaliśmy pokojówkę.

„Marysiu — zatrzymał ją Anders — chcę zapytać o jedną rzecz: proszę mi powiedzieć, co to za oficer był u Marysi wczoraj?... Widziałem go — wychodził od Marysi”.

Marysia zaśmiała się wesoło.

„To mój narzeczony. Tylko nie oficer, a pisarz, pisarz wojskowy, służy w sztabie”.

„Marysia żartuje chyba! Zupełnie jak oficer! I taki piękny... twarz taka mądra. Ale, Marysiu, proszę nam dać rubla drobnymi. Dorożki i inne drobiazgi...”

„Czy mam aby? — zafrasowała się Marysia, szukając w kieszeni. — Mam. Proszę. A zauważył pan jaką on ma cerę? Różową, taką różową”.

„Cudną. Wprost coś zadziwiającego. Chodźmy”.

Gdyśmy wychodzili z domu, zatrzymałem się koło siedzącego przy wejściu i czytającego kurjer woźnego i powiedziałem:

„A pan wciąż się zajmuje polityką? Jakto przyjemnie widzieć mądrego, intelig...”

„Chodźmy — przerwał mi Anders. — Tutaj nie trzeba, nie warto”.

„Nie warto — to nie warto”. Odwróciłem się i pokornie poszedłem za Andersem.

## II.

Wprost na nas szedł chudy, zniszczony przez życie człowiek, o pochylonych plecach, zapadłej piersi, szedł tak, że każda noga, postawiona na ziemię, długo się chwiała w kolanie i ruszała na wszystkie strony, wreszcie się uspakajała i dawała miejsce drugiej, równie niepewnej siebie. Wlókł się jak chrapaszczek o złamanych nogach.

„A! — wykrzyknął — Staś Magnacki! Zapoznajcie się... Gdzieś był wczoraj?”

„Byłem na walce — odpowiedział napół rozłożony Staś — Jak zwykle. Ach, żebyś wiedział Andersie, jak Chabibula walczył ze Szwedem Arenshemem, Chabibula ciężki, a tamten smukły, zręczny...”

„A ty sam, Stasiu, walczysz?” — poważnie zapytał Anders.

„Ja? Skąd znowu? Przecież nie jestem specjalnie silny!”

„A tak... nie specjalnie. Tacy właśnie, jak ty, chudzi, nerwowi, posiadają siłę nadludzką. No proszę, ściśnij mi rękę”.

Wycieńczony Staś wziął rękę Andersa, wyprężył się, wytrzeszczył oczy i ochryple zapytał:

„No, co?!”

„Dla Boga, puść — z bolesnym jękiem wykrzyknął Anders. — To djabeł... jak żelazo! Znaczniej z takim djabełem, to ci pokaże! Cała ręka spuchła”.

Anders zaczął skakać z bólu, wywijając ręką, ja zaś, dotkawszy zapadłej piersi Stasia, zapytałem:

„Pan się gimnastykuje od dzieciństwa?”

„Wiedźże pan — tryumfując — zahycotał Staś — że się nigdy gimnastyką nie zajmowałem”.

„Być nie może — dziwiłem się — napewno kiedyś zajmował się pan pracą fizyczną?”

„Nigdy!”

„Niemożliwe. Niech pan sobie przypomni!”

„Kiedyś, rzeczywiście, przed siedmioma laty dla rozrywki kopałem grządki w ogrodzie”.

„Oto co! — wykrzyknął Anders — patrzcie go, jaki chytry! Tu grządki, a kiedyś zobaczymy jeszcze coś... To skromniś! A ciekawem byłoby obejrzeć twą muskulaturę zbliżoną”.

„A co, panowie — rzekł Staś — jeszczeście nie pili śniadania?”

„Nie”.

„W takim razie zapraszam cię, Andersie, i two-go sympatycznego kolegę na śniadanie. Tutaj w pobliżu jest niezła restauracyjka... Weźmiemy gabinet, ja się rozbiórę — hm. Jakie takie muskuły — mam chyba”.

„Nie mamy teraz pieniędzy” — oświadczyłem wprost.

„O, głupstwo. Wczoraj otrzymałem z domu... Chodźmy, doprawdy...”

W gabinecie Staś zamówił odrazu wódkę, zakąski i śniadanie, potem zamknął drzwi i obnażył tors.

„Takem właśnie myślał—powiedział Anders.— Budowa ciała sucha, ale ogromnie muskulista i giętka. Mało jest ćwiczony, ale przy dobrym trenowaniu wywdzie taki chłop...”

Wskazał mi jakąś brodawkę w zgięciu ręki Stasia i rzekł:

„Biceps. Tęgi, do diabła!”

### III.

Z restauracji wyszliśmy około ósmej wieczorem.

„Kręci mi się w głowie”—poskarżył się Anders.

„Jedźmy do teatru. To myśl! Dorożka!”

Siedliśmy i pojechaliśmy. Obaj byliśmy zamysłeni. Dorożka wlokła się leniwie.

„Patrz, jaki wspaniały koń — powiedział Anders.—Taki rumak może pędzić, jak wiatr. To dorożkarz jeszcze się nie rozruszał, ale zaraz się rozochoci i pokaże nam, jak to szybka jazda wygląda”.

Rzeczywiście dorożkarz, przysłuchawszy się, uniósł się na koźle, zaryczał coś wściekłym głosem, śmignął batem konisko—i pogalopowaliśmy.

Po dziesięciu minutach, siedząc w garderobie aktora Aksarskiego, Anders gorąco prawił.

„Doświadczyłem dwóch wstrząśnień w życiu: gdy mi umarła matka i gdy widział pana w „Ottelu”. Ach, co to było!! Ona nawet nie pisnęła”.

„Matka pańska?”—zapytał Aksarski.

„Nie, Desdemona. Gdy ją pan dusił.. To było wstrząsające widowisko”.

„A w „Rewizorze“ Chlestakow“ — wykrzyknąłem z zachwytem.

„Przepraszam, ale w „Rewizorze“ nie gram. To nie moje emplois”.

„Też mówię: Chlestakowa... Niech to nie pańskie emplois, niech, ale w sprawie istotnego talentu, gdy rola zalsni jak brylant, gdy pan uczyni z niej to, czego nie uczynił..”

„Milcz—rzekł Anders. — Mam przedsmak dzisiejszej rozkoszy...”

„Patrzcie, patrzcie państwo—odezwał się łagodnie aktor. — Jeszczeście biletów, myślę, nie kupowali?”

„My... zaraz kupimy”.

„Nie trzeba! Z jakiej racji. Ja to państwu załatwię. Janie! Zanies do kasy tę kartkę. Dwa w trzecim rzędzie. Zwawo!...”

Podczas antraktu, przechadając się w palarni, ujrzelśmy syna kupca Naciągalskiego, którego znaliśmy obaj.

„A, podporo handlul — wykrzyknął Anders. — O pańskim ostatnim kawale mówi całe miasto. Strasznieśmy się śmieli, dowiedziawszy się o historii z cyganem z chóru. Trzebaż to umieć wymyśleć: zawinął cygana w portjerę, przyłożył lakowe pieczęcie i odesłał do mieszkania matki. Wyobrażam sobie jej zdziwienie. Dowcipnie, dowcipnie. Póki są na świecie tacy ludzie taka szczerą swobodną wesołość świat nie zginał proszę nam pożyczyć pięćdziesiąt rubli wkrótce oddamy”.

Chociaż w tym zdaniu Andersa nie było ani jednego znaku przestankowego, wesoły syn kupiecki tyle znał się na pisowni, co malarz szyldów sklepowych i dlatego ostatnie słowa zrozumiał jako coś wynikającego z poprzednich. Pokornie wyjął pieniądze, dał je Andersowi i powiedział, filuternie mrugając oczyma:

„Awięc morowo wyszło z tą portjerą, co?”

\* \* \*

Zmęczeni, po obfitej kolacji, wracaliśmy do domu. Samochód miękko, pieczołowicie wioził nas na sprężynowych poduszkach, a zapach jego benzyny mieszał się z dymem cygar, które leniwie kurzyły się w naszych zębach.

„Tyś człowiek mądry, Andersie — rzekłem. — Posiadasz tyle taktu, domyślności...”

„E, dajże spokój!! Jesteś skromny, ale to ty, ty właśnie masz drogocenną jasność i czystyś myśli—daleko mi do tego... Nie mówię już o twej powierchowności: nigdy nie zdarzało mi się widzieć twarzy bardziej czarującej, pociągającej, pięknej, dziwnym jakimś pięk...”

Zorjentowawszy się, potrząsnął ręką, zmarszczył się i omal, że nie plunął:

„Tfu, świństwo!”

*Arkadiusz Awerczenko.*



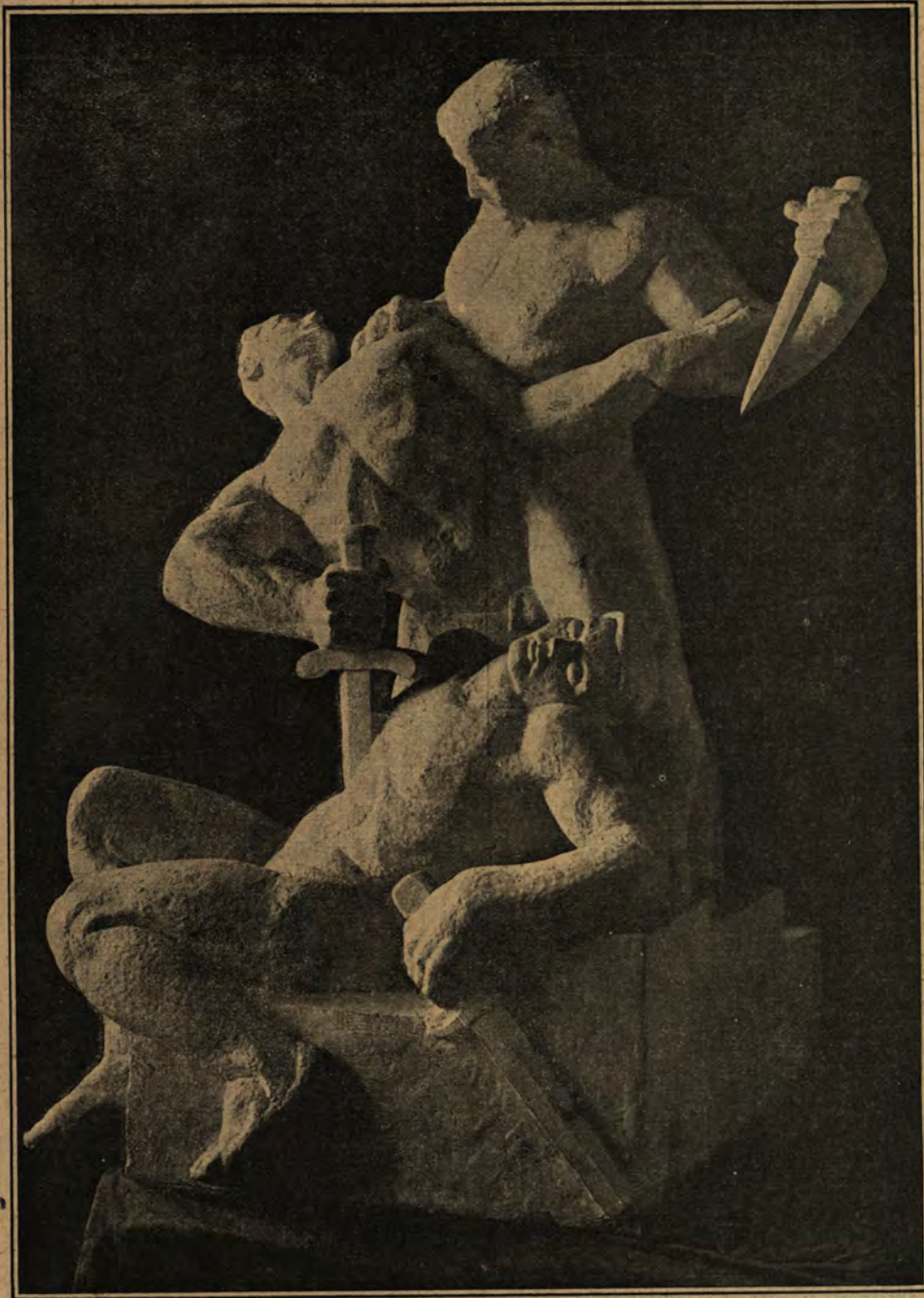
W trzecim zeszycie „ŚWIATŁA“ zaczniemy drukować nową powieść Andrzeja Struga pod tytułem „WYSPA WYZWOLENIA”.



EDWARD WITTIG.

RYCERZE WOLNOŚCI.





EDWARD WITTIG.

WALKA.

# EDWARD WITTIG.



legendowe pojęcia żydowskie, zebrane i spisane w księgach, tak zwanych Mojżeszowych, a mianowicie w księdze Genesis (Kościół katolicki uczy nas, że księgi te są przez Ducha Świętego natchnione), opisują jak Bóg

po stworzeniu świata przystępuje do stworzenia człowieka.

Stworzenie odbywa się wedle tych pięknych legend inaczej, niż stworzenie reszty wszechświata. Bóg biblii nie mówi: „N.ech się stanie człowiek“, — jak to czynił, gdy chciał stworzyć światło, gwiazdy, ziemię, zwierzęta i inne części bytu.

Gdy zapragnął stworzyć człowieka — Bóg bierze w swe dłonie glinę i lepi go na obraz i podobieństwo swoje — po stworzeniu zaś cudnego, ludzkiego kształtu „natchnął w oblicze jego dech żywota: i stał się człowiek z duszą żywiącą“. (Gen. I. 7).

Bóg biblijny był więc pierwszym rzeźbiarzem. O tej pięknej legendzie każdy rzeźbiarz myśli ze wzruszeniem, gdy pod palcami wyczuwa wzrastające w glinie ludzkie kształty, w których chciałby wyrazić życie nieśmiertelne duszy.

Powstawanie bowiem rzeźby jest takie, jak podają stare księgi, opisując stworzenie człowieka. Po odrobieniu modelu w glinie, odlewa go rzeźbiarz w gipsie, w bronzie, kuje w drzewie, w marmurze lub w jakim innym kamieniu.

Tworzenie rzeźby wymaga dużego nakładu pracy i pewnych szczególnych, dodatnich właściwości duchowych, które nazywamy talentem.

Opanowanie jednak sztuki rzeźbiarskiej prócz sił duchowych — talentem zwanych — wymaga jeszcze zdobycia, drogą długiej i uciążliwej pracy — wiedzy rzeźbiarskiej.

Rzeźbiarzem, którego dzieła łączą talent wielki z gruntowną znajomością sztuki jest profesor Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, Edward Wittig.

Przeszłość swego młodego życia zaludnić potrafił Wittig, przez wysiłek twórczy talentu i pracę niezmordowaną, istnym tłumem posągów, głów i popiersi; wykonał prócz tego wiele portretów, pełnych spokoju, powagi i wielkości form.

Przedstawiamy tu kilka prac ostatnich prof. Wittiga, — a więc dajemy przedewszystkiem fotografię portretu potężnego oblicza Naczelnika Państwa — wykutego w marmurze.

Na początku swej rozwojowej drogi Wittig skłaniał się ku naturalizmowi — później wykuł kilka dzieł, nacechowanych wdziękiem i wytworną, lekką

gracją: to portret damy z grupą aniołków, projekt płaskorzeźby nad wodą i inne.

W obecnym okresie swej twórczości Wittig, pod wpływem ogromnych zdarzeń historycznych, dąży do stworzenia wielkich dzieł pomnikowych.

Dwie reprodukcje z grup, pomysłanych jako dzieła bardzo dużych rozmiarów, podajemy tu czytelnikom. Jedna — to „Rycerze wolności“.

Wittig, tworząc to dzieło, podjął się zadania niezmiernie trudnego do pokonania w rzeźbie. Mianowicie — umieścił po obu stronach cokołu, na którym wznosi się postać nazwana przez artystę „Lotną Polską“, dwa szeregi, idących postaci rycerskich, symbolizujących rozmaite epoki walk o niepodległość i wolność narodu naszego. Szło tu o zestrojenie w całość postaci rozmieszczonych na dość dużej przestrzeni i niezwiązanych bryłą, a prócz tego rozdzielonych cokołem.

Naszym zdaniem, temat wielu idących postaci nadaje się do przedstawienia w płasko- lub wypukło-rzeźbie, gdyż wówczas postacie te są związane płaszczyzną tła i mają jeden tylko punkt widzenia — (tak komponowane są fryzy Partenonu) Ateńskiego — tak skomponował swą wspaniałą „Marsyljanke“ francuski rzeźbiarz Rude.

Przy rozstawieniu zaś postaci bez związania ich tłem jest bardzo trudno osiągnąć z każdego punktu widzenia wrażenie całości.

W rzeźbie tej pojedyncze postacie mają bardzo dużo ruchu, wyrazu i siły w kształcie. Postać „Lotnej Polski“ pełna jest polotu i wznosząc się ponad szeregi figur, kroczących u jej stóp, sama stanowi bardzo piękne, pomnikowe dzieło.

Rzeźba „Rycerze Wolności“, znajduje się obecnie na Wystawie T-wa Zachęty, i bardzo zalecamy czytelnikom „Światła“, aby ją sami w oryginale obejrżeli.

Trzecia podana przez nas reprodukcja — to rzeźba przedstawiająca „Walkę“. W grupie tej trzy postacie walczących ze sobą rycerzy zostały powiązane w całość, poczętą z jednej bryły.

Wittig, należy do artystów, których talent nie zakrzepł w raz zdobytych wartościach, lecz którzy rozwijają i przeobrażają się ciągle. Zna on doskonale tajemnice i trudności rzeźby i panuje nad formą. Dzieła swe uwiecznia w bronzie i wykuta w marmurze.

Teraz, gdy nadchodzi czas tworzenia wielkiej nowej architektury polskiej, będącej matką rzeźby, dla Wittiga, z jego dążeniem do monumentalności (powagi i siły), rozwinęły się zapewne szerokie pole działania.

Jan R.

## ZE SZTUKI LUDOWEJ.

Kościół odsuwa twórców samodzielnych, a więc i twórców ludowych od zdobienia swych świątyń. Kościół, będąc instytucją despotyczną, chce też rządzić i twórczością ludzką, aczkolwiek kler obecny w swej ogromnej większości nie dorósł do tego.

Do jakiego stopnia kościół nie liczy się z twórczością ludową świadczy fakt zburzenia wielu kościołków, wzniesionych przez ludowych cieśli, i zastąpienia ich przez kosztowne, okazałe, lecz pospolite, obce nam z ducha i kształtu, budowle, nie wpływające ani z naszej tradycji, ani z naszej twórczości, będące najczęściej zlepką dzieł, stworzonych w obcych, da'ekich krajach.

Widziałem fotografie z rzeźb tworzonych przez chińczyków w jednej misji katolickiej w Chinach. Litość i oburzenie brały patrzeć, że tych ludzi, mających najwspanialsze artystyczne tradycje i cudowną, sięgającą w głąb ludowych mas, sztukę, zmuszali zakonnicy do tworzenia tandetnych posągów świętych na modłę europejską, nie pozwalając im chwalić Boga tak, „jak im dziób urósł“. Dzieła, wyszłe z pracowni chińskiej, kierowanej przez katolickich zakonników, nie różniły się niczem od dzieł jakiegoś snycerza częstochońskiego. Szablon, ujednolicenie, zrównanie, robienie sztuki wedle najpospolitszych, zmurszałych, bezdusznych wzorów—oto dzisiejsza artystyczna robota kościoła; twórczością bowiem tego nazwać nie można.

W większości naszych świątyń daremniebysmy szukali przejawów twórczości artystycznej mas, które do kościołów chodzą.

Że zaś w naszych masach ludowych istnieją zdolności twórcze, świadczy o tem dawna nasza sztuka ludowa, dzisiaj już będąca na wymarcu.

Podajemy dziś oto Czytelnikom naszym reprodukcję z obrazu, malowanego przez ludowego majstra na Podhalu, a przedstawiającą Matkę Boską. Widzimy, jak wiele umiał wydobyć ten nieznan



MADONNA według starego malowidła ludowego.

nam mistrz tkliwości i miłosnego oddania się w postaci Matki, nachylonej nad dzieciątkiem.

Malarz ustroił Matkę w chustę zdobioną kwiatkami, tak jak to noszą nasze wieśniaczki. Otoczył jej głowę ślicznie namalowanym świetlnym kołem, z którego biją promienne smugi w ciemne tło, a złocisty płaszcz pokrył dużymi kwiatami.

Dzisiejsza, budząca się do nowego życia, polska masa robotnicza, w poznaniu rodzimych tradycji artystycznych znajdzie podstawę i bodziec do tworzenia nowych dzieł.

## Pokłosie polityczne.

Piękna to rzecz, „tłusty Wtorek“:—zapusty, bale, maski, Pierrot wzdychający do Colombiny, światło bengalskie, śmiechy, ale nazajutrz przychodzi „popielcowa środa“: światła pogasły, szminka opadła, zmęczenie, nuda, smutek. Rok temu demokracje Zachodu oddawały się głośnej radości z powodu wygranej wojny. Dodajmy burżuazje tych demokracji, ile, że nie brakowało w tych państwach zwyciężkich mężów rozumnych i przezornych, którzy zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa chwili.

Burżuazja francuska i angielska, ich rządy, ich ministrowie upojeni zwycięstwem, nie myśląc o jutrze, nie widząc nic wokoło, widząc zaledwie koniec własnego nosa, wznosili wiwaty dobrem winem francuskim i układali warunki pokoju. „Niemiec zapłaci za wszystko“. Niemiec da węgla, pieniędzy, odda lokomotywy, odda wagony, odbuduje kraj zniszczony, zaorze go, zasieje, odbuduje fabryki, postawi kominy..... Minął rok. Gdzież dziś są złudzenia z przed roku! Opadły, jak liście z jesieni

drzewa. Opadły jedno za drugim, Niemiec daje połowę węgla, nie daje wagonów ani lokomotyw. Mówi, że nic dać nie może, że ginie z głodu. Wydajność jego kopalń jest coraz mniejsza... Pieniądzy nie daje—mówi, że niema. Kraju zniszczonego nikt nie odbudowuje. Kominów nie widać. Produkcja francuska stoi na poziomie tej, jaka była przed rokiem.

To znaczy, że trzeba wszystko sprowadzać, za wszystko płacić gotówką albo kredytem. To znaczy, że wartość pieniądza francuskiego jest coraz niższa. Dolar amerykański wart był przed wojną pięć franków, w połowie roku 1919 wartość dolara podniosła się do ośmiu franków, dziś — płacą za dolar czternaście franków. Francja dłużna jest Anglii, Ameryce, Hiszpanji—dwieście czterdzieści miliardów, a że nie może płacić procentów od tego przerażająco wielkiego długu, tedy dług rośnie, rośnie. Clemenceau — „ojciec ojczyzny“, Poincaré — „dobrze się zasłużył ojczyźnie“ (tak orzeka parlament francuski), ale przezorny a oszczędny mieszczanin francuski, ogłupiany w ciągu długich miesięcy przez sprzedajną prasę burżuazyjną, zaczyna przecierać oczy i pytać siebie: długo jeszcze tej wojny i tej drożyzny? Budżet wynosił przed wojną sześć, siedm, dziesięć miliardów, budżet p. Milleranda wynosi dziś czterdzieści siedm miliardów.

Z jakich źródeł będzie pokryty? Z podatków! I mieszczanin zaciska zęby, chwytą się za głowę wyraca pustą kieszeń. Gdzież jest ów talizman, który miał uleczyć wszystkie powojenne choroby, gdzie zaklęcie, które miało otworzyć Sezamy cudownych bogactw się. Trzeba będzie w ten lub inny sposób oddać szlachetnie na wojnie, na krwi i nie-szczęściu „zarobione“ pieniądze! Podatki będą olbrzymie i podatek od dochodu, broniony od lat tyłu przez znieprawionego przez burżuazję pana Caillaux—będzie musiał być zaprowadzony.

Nadomiar złego Ameryka odmawia nadal kredytu. Minister skarbu ogłosił świeżo akt oskarżenia, zwrócony przeciwko rządowi Europy, które z nadto obciążały fundusze Stanów Zjednoczonych. Deklaracja amerykańskiego męża stanu pełna gorzkiej prawdy, pogardliwie sądząca dumny kapitalizm Starego Świata—może być dla nas, biedaków, źródłem niejako pociechy. To nie tylko marka stoi

„poniżej psa“, ale nawet o szlachetnym, porządnym franku, o zarozumiałym funkcie angielskim—otwarty, szczerzy aż do złego wychowania Amerykanin wyraża się bez szacunku.

Sytuacja jest bardzo poważna, i zmiana w stosunku Lloyd George'a do Rosji „sowietów“ ma tu bodaj swoje źródło najważniejsze. Lloyd George chce zboża rosyjskiego, bo za amerykańskie już płacić nie chce, a może i nie jest w możności. Śnią mu się, pękające od ciężarów domniemanych, śpichrze rosyjskie. Dlatego nawiązuje stosunki z kooperatywami: on im da towary gotowe, one dadzą Anglii zboże, surowce i t. d. Co będzie dalej, czas pokaże. Tak, jak jest bowiem — dalej trwać nie może. Tę zmianę śledzić w gazetach angielskich jest rzeczą ciekawą i nauki a nawet humoru pełną. Rok temu Lloyd George narzucił ówczesnej Radzie Dziesięciu zasadę pociągania do odpowiedzialności osobistej, związanej z wydaniem wszystkich okrutników niemieckich. Narzucił — wbrew woli prezydenta Wilsona. W imię tej zasady przeprowadził wybory do parlamentu. Dziś cofa się: już nie żąda wydania, pozwala sądzić ich w domu w Niemczech, sądowi najwyższemu w Lipsku. Na czele tej listy znajduje się Wilhelm. Rząd polski dorzucił do tej listy—Beselera, kilku innych. Dziś nie będą już sądzeni po zagranicami Niemiec. Holandia nie wyda Wilhelma. Zasada Lloyd George'a była tylko bluff'em wyborczym. Teraz dopiero przyznał się do tego: za sprawą zmienionych warunków.

Uderzamy tutaj w sedno rzeczy. Parłamenty rozbrzmiewają wielkimi mowami na temat wyniosłych zadań narodowych. Najpierwsi adwokaci Francji językiem godnym Cyncerona, gestem Dantona i Jaurésa prawią o godności narodowej, o misji narodu francuskiego, o wielkich, światowych zadaniach. Socjaliści, którzy dziś w tym najpierwszym parlamencie świata są często odosobnieni, siedzą na skrajnej lewicy i gorzko śmieją się z Zapustnych Poliszynelów kapitalistycznej Francji. Jutro przyjdzie z żelazną koniecznością Popielec: przyjdzie rachunek wierzycieli, rachunek, którego już nie będzie można prolongować. Stanie przed narodem okłamywanym, oszukiwanym i łupionym najgroźniejsza z kwestji, kwestja kawałka dobrego, smacznego francuskiego chleba!

R. K.



## Robotnicy polscy we Francji.



WYKWALIFIKOWANI ROBOTNICZY POLSCY KOPIĄ DOŁY POD ARRAS.

Bezrobocie, panujące w Polsce, pchnęło już setki robotników polskich na emigrację do krajów, gdzie istnieje lepsza organizacja państwowa, i gdzie rządy myślą o odbudowie zniszczonych przez wojnę wsi i miast.

W Polsce nie brak powojennych ruin, ale robotnik, który jest podstawowym czynnikiem odbudowy, w Polsce znaleźć nie może pracy, gdyż rząd polski nie potrafi zorganizować pomocy twórczej i nie posiada na jej prowadzenie środków, które pochłania w trzech czwartych wojna. Rząd francuski dzisiaj wkłada wiele energii w sprawę odbudowy. Praca w tym kierunku idzie całym pędem. Nie znaczy to jednak, że we Francji niema bezrobocia. Bezrobotnych, demobilizowanych żołnierzy jest tam bardzo wiele, lecz stawiają oni przemysłowcom i rządowi dość wysokie wymagania. Żeby

przeto zdobyć taniego robotnika, rząd francuski sprowadza sobie robotników z Polski.

Fotografie, które reproduujemy w „Świetle“, przedstawiają właśnie grupy robotników polskich, zajętych przy odbudowie miasta Arras. Uderza nas tutaj jedno: są to robotnicy wykwalifikowani — tokarze, ślusarze, monterzy i t. d. — jak widać na fotografii pracują oni jednak przy kopaniu dołów i niwelacji gruntu.

Czy francuzi nie umieją wyzyskać umiejętności robotnika i stawiają go do pracy dłań nieodpowiedniej? — Nie! Tłumaczy to się prosto. Robotnicy francuscy spełniają funkcje, wymagające umiejętności, robotnicy zaś polscy, jako tańsi, spełniają rolę „wyrobników“, niewykwalifikowanych robotników.

Czy w kraju naszym ta marnująca się energia i umiejętność na nic by się nie przydały?!

## Usiłowania sceniczne robotników warszawskich.

### „KOŁO DRAMATYCZNE“.

W długiej wąskiej sali, przypominającej raczej szopę jak teatr, gra drużyna artystyczna klubu Robotniczego. Przed półrokiem była ona licznější, ale ponieważ klub wskutek rozpotządzenia rządu był przez kilka tygodni nieczynny — przeto część artystów utworzyła osobną trupę „Scena i Lutnia“, która co miesiąc daje przedstawienie. Nie mając jednak stałego pomieszczenia, musi za każdym razem szukać gościny na deskach innego

teatru. Ostatnio zespół amatorów pod dyktką tow. Sokolicz wystawił z dużym powodzeniem „Tłaczy“ Hauptmanna na scenie teatru praskiego.

Druga część amatorów, zgrupowana przy klubie Robotniczym, tworzy t zw. „Koło Dramatyczne“, które co święto i co niedziela daje przedstawienie w miejscowym teatrze.

D. 15.II zostały odegrane 3 jednoaktówki: „Franek Szpicel“, utwór t. Sokolicz; „Inteligent“, Gorceyńskiego, oraz „Dwóch Głuchych“, farsa z fran-

cuskiego. Z tych pierwsza jedynie była szczęśliwie wybrana. „Inteligent” jest sztuką o głębszym psychologicznym podkładzie i wymaga rutynowanej subtelnej gry aktorskiej, której przecież od amatorów nie możemy wymagać, zwłaszcza w sztukach najzupełniej niedopasowanych do życia grających i miejscowej publiczności. „Dwaj głusi” należą do repertuaru przestarzałego, który warto już złożyć do archiwum. Ratować można tę sztukę jedynie szybką akcją i wydobyciem możliwej ilości komizmu z sytuacji, co też artyści z powodzeniem czynili. Powinno się jednak unikać grania fars francuskich, tak dalekich od ducha polskiego humoru. Jeżeli sięgać mamy do cudzych skarbów, to szukajmy tam rzeczy bardziej wartościowych.

Za to tem chętniej podkreślam utwór rodzimowy. Sokolicz, jakim jest „Franek Szpicel”. Autor-

ka czuje scenę i pewnymi rzutami kreśli pojedyncze postacie, wlewając w nie życie i prawdę. Obrazek ten, to odbicie chwil największych może represji rządów carskich. Młode bohaterskie orląta w walce z molochem despotyzmu, knuta i kajdan. Padają ofiary, a po ich trupach wiedzie droga do wolności.

Amatorzy-robotnicy grają środkami bardzo prostymi, ale z dużym odzuciem. Na pierwszym planie postawić należy grę matki, Franka oraz Bonifacego, który ma zakrój wybitnie charakterystyczny.

Młody reżyser t. Ligaszewski pracuje dzielnie. Musi jednak walczyć z dużymi trudnościami. Należałoby mu dopomóc przez utworzenie komisji teatralnej, któraby opracowała odpowiedni repertuar i nadała mu charakter celowej pracy artystycznej.

*Halina Wilczyńska.*

## Biały terror na Węgrzech.



REDAKCJA I ZECERNIA „NEPSZAWY” PO NAPADZIE BIAŁEJ GWARDJI.

Rozbita, zniszczona drukarnia robotnicza. Redakcja organu socjalistów węgierskich „Nepszawa” (Naprzód) — zrujnowana doszczętnie.

Biblioteka, gromadzona przez wiele lat, zawierająca cenne dzieła myślicieli, obrócona w stosy podartych papierów.

Oto obrazki białego, burżuazyjnego teroru. Oto przykład barbarzyństwa, szczycącej się zawsze kulturalnością, burżuazji.

Gdy patrzę na te fotografie, przypomina mi się mimowoli inna scena. Do biblioteki jednego z dworów na Białej Rusi wpada horda rozbastwionego, dyszącego zemstą i chęcią rabunku, żołdactwa z armji bolszewickiej.

Żądza zniszczenia pcha ich, by zburzyć ten zbiór książek. Ktoś już podważa szafę.

Wtem wysuwa się jeden z żołnierzy, ot prosty robotnik, i piersią zasłania bibliotekę.

— „Nie niszczyć—woła—to bogactwo ludowe!” Nie słuchają go. Już jedna, druga półka książek na ziemi.

Obronca biblioteki wyciąga rewolwer i grozi każdemu, kto będzie dalej niszczył, śmiercią.

Żywiół przycicha.

— „Ostaw duraka!” — wykrzyknął ktoś pogardliwie. Biblioteka ocalała.

Czy wśród pijanej zwycięstwem nad robotnikami węgierskimi burżuazji budapeszteńskiej zna-

laż się taki? — A znaleźć się winien wśród tych, którzy jedynie mieli dostęp do źródeł kultury!

Mamy już przed oczyma dwa przykłady białego teroru: Finlandję i Węgry. Tu i tam ofiary jego stokrotnie przewyższają żniwo najbardziej okrutnego teroru czerwonych. W Finlandji podczas jednego dnia swego zwycięstwa zamordowała burżuazja robotników więcej, niż zginęło podczas całej rewolucji członków burżuazji.

Na Węgrzech są lasy, w których na każdym co drugim drzewie kołysał się trup zamordowanego robotnika. A ile przy tem było znęcań się i okrucieństw!

Zaiste wobec tych obrazów, które dała kontrrewolucja—sielskim jest obraz teroru bolszewików.

Ale o terrorze bolszewików krzyczy się na każdym rogu ulicy, a o terrorze burżuazji w Finlandji lub na Węgrzech, dochodzą nas tylko głuche wieści.

Fotografie, które umieszczamy, otrzymaliśmy



BIBLIOTEKA ROZBITA PRZEZ KONTRREWOLUCJONISTÓW.

z Budapesztu i podajemy je, by dać możność czytelnikom choć w części odtworzyć sobie barbarzyństwo, jakie kryje się pod układną miną i sztywnym białym gorsem sfer „kulturalnych“ społeczeństwa.

## NOTATKI.

### Z KRAJU „KULTURY“ I „SPRAWIEDLIWOŚCI“.

Przeżywalimy niedawno okrutne czasy niewoli carskiej, niechże nie będą nam obojętne cierpienia narodu, który jedyny w Europie tak samo jak my, a może więcej, cierpiat od obcego najazdu i jęczy w niewoli po dzień dzisiejszy.

Krajem tym jest Irlandja. Państwem zaborczym i okrutnym jest Anglja. — Ostatnim bohaterem, krwawym gubernatorem Irlandji — jest oślawiony w wojnie europejskiej jenerał Frensch (Frencz).

Tyle mówi się o kulturalnym podboju Anglików, o ich mądroj i łagodnej polityce wobec podbitych narodów. Ostatnio spełnili wielką rolę w „wsprawiedliwej“ wojnie europejskiej i są naszymi przyjaciółmi. — Rzućmy okiem na działalność tych kulturalnych, sprawiedliwych przyjaciół naszych u siebie w domu.

Przez ostatnie 3 lata władze angielskie zamordowały w Irlandji 58 ludzi. — Odbyły się 534 sądy wojenne, które wydały 1998 wyroków, skazujących tysiące ludzi na długoletnie więzienie i 2076 osób na wygnanie z kraju. W czasie tym dokonano 431 napadów na irlandczyków, domagających się w pokojowych manifestacjach wolności dla swego kraju. 5.859 rewizji i najazdów policji z wojskiem na domy prywatne, wtrąciło do więzień 3394 osób. Wydano 51 razy rozkazy, zawieszające różne pisma irlandzkie. Takie jest żniwo angielskiej kultury w Irlandji. — A pamiętajmy, że prześladowania te prowadzą się od dziesiątków lat, i już większą część irlandczyków wyrugowano z Irlandji.

Błędnie wobec tego nawet ustawa kolonizacyjna pruska w Poznańskim.

Tak postępuje „sprawiedliwa“ Anglja u siebie w domu

### WYZWALAJMY SIEBIE SAMYCH.

Prasa nasza jest pełna zachwyty o wyzwolniczej roli, jaką ma spełnić Polska wobec swych sąsiadów na wschodzie. Starym hasłem powstańczym „za naszą i waszą wolność“ potrząsa się na wasze strony, nie spostrzegając, że hasło to brzmi teraz gorzką ironją w ustach polaka.

Weźmy tylko parę przykładów z dziedziny naszych stosunków z ukraińcami.

Swego czasu w grudniu komunikat Sztabu Generalnego polskiego doniósł nam, że na skutek porozumienia z rządem ukraińskim został przez wojsko polskie chwilowo obsadzony Kamieniec Podolski.

Minęły dwa miesiące i... zabronili pelacy na terytorjum ukraińskim mówić i pisać w sprawach urzędowych po ukraińsku. Nakazano przemalować szyldy ukraińskie i zastąpić je polskimi. Zabroniono noszenia ukraińskich oznak wojskowych. Ogłoszono Kamieniec Podolski za powiat, przyłączony do Polski. Zakazano wydawania socjalistycznych gazet ukraińskich.

Wstyd pali każdego uczciwego polaka, gdy dowiaduje się o takich faktach

Tak wygląda współczesne „za naszą i waszą wolność“ i powiedzmy — znaczy to słowo dzisiaj „za naszą i waszą niewolę“. — Bo gnębiąc słabszych sąsiadów, niszcząc w nich zaufanie do Polski, siejąc w ich duszach nienawiść i pragnienie zemsty — rodzimy wrogów, a duszę narodu polskiego zatruwa się najstraszniejszą trucizną — zatraceniem wiary w ideał wolności. Tworzy się nienawiść nackót Polski, a w Polsce ugruntowuje się ludzie, żyjących nadużyciem, gwałtem nad słabszymi.

A tego i tak w Polsce dużo. Przestańmy przeto wyzwalać sąsiadów: oni z chęcią wyrzekną się naszej pomocy. Pomyślmy lepiej o wyzwoleniu siebie samych z pęt korupcji i strasznej anarchji kapitalistycznej.

### KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCJI:

Lucjan Rudnicki. Odrodzenie. Powieść. Wyd. „Książki“. Cena 18 mk.

Adam Skwarczyński. Cele wojny na wschodzie. Wyd. „Rządu i Wojska“.

B. Straszewicz. Jak rozwiązać sprawę waluty w Polsce. Skład główny: Księgarnia „Ogniwo“, Hortensja 7.

## HUMOR I SATYRA.



KOALICJA i POLSKA.

rys. Z. Grabowski.

**Z GAZET:**

— Polsce i Rumunii polecono ochronę Europy przed wpływem bolszewizmu rosyjskiego.

— Związek kupców amerykańskich postanowił wezwać rząd do natychmiastowego ułatwienia im nawiązania handlu z Rosją.

**WARUNKI PRENUMERATY z przesyłką do domu:**

Od 15 lut. 20 r. do 1 stycz. 21 r. 120 mk.—170 kor.

Kwartalnie . . . . . 35 „ — 50 „

Miesięcznie . . . . . 12 „ — 17 „

„Konto czekowe P. K. O. Nr 798.

**CENY OGŁOSZEŃ:**

Za jednoszpaltowy wiersz petitu lub jego miejsce:

Na okładce: 2-ga i 3-cia str. — 6 mk.; 4-ta str. 5 mk.

Na ostatniej stronie tekstu (tylko książki i wydawnictwa) 8 mk.

Za całą stronicę 150 wierszy — 20 proc. taniej.

**ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: SZPITALNA Nr 12, II PODWÓRZE, II PIĘTRO.**

Redakcja otwarta codziennie od 6—8 wiecz. — Administracja czynna codziennie od 10—2 pp.

**REDAKCJA:**  
 JAN HEMPEL  
 JAN REMBOWSKI  
 JERZY SOCHACKI  
 ANDRZEJ STRUG.  
 ZYGMUNT ZAREMBA.

Redaktor i Wydawca **Z. Zaremba.**  
 Kierownik literacki **Andrzej Strug.**  
 Kierownik artystyczny **Jan Rembowski.**